MŁOT JAHWE

TOM I

w świecie Miecza Jahwe



Fundamenty Szilo

Marek Migała

Biblijna fantastyka heroiczna

PRAWA AUTORSKIE © Marek Migała, 2026

PIERWSZE WYDANIE POLSKIE

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani przekazywana w jakiejkolwiek formie bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Oryginalny tytuł: Młot Jahwe. Tom I: Fundamenty Szilo

Projekt okładki: autor

Ilustracje i mapy: autor

Redakcja: autor

ISBN 978-83-984146-9-2

Dla tych, którzy kładą kamień tam,
gdzie inni widzą już tylko popiół.

ŚWIAT MIECZA JAHWE

MIECZ JAHWE

era podboju — cykl zakończony

Tom 0 *Córka Pustyni*

już wydany

Tom I *Pierwsza krew na pustyni*

już wydany

Tom II *Trąby Jerycha*

już wydany

Tom III *Płonący Hazor*

już wydany · finał cyklu

MŁOT JAHWE

era budowy — nowy cykl

Tom I *Fundamenty Szilo*

✦ w twoich rękach ✦

Tom II *Kły i Łuk*

w przygotowaniu

Tom III *Ołtarz Świadka*

w przygotowaniu · finał cyklu

DRAMATIS PERSONAE

ci, którzy budują, i ci, którzy burzą

SZILO I HUFIEC

GOLIATH — kowal, budowniczy Szilo; człowiek młota i ognia, który uczy się, że nie każdego wroga pokona się obuchem.

REFA — półolbrzymka znikąd, kowalka i wynalazczyni z doliny gigantów; sierota bez rodu, wyszydzana przez pobratymców za to, że woli budować niż miażdżyć. Jedyna w swoim wzroście, która w Goliacie widzi nie groźbę, lecz bliźniego.

MIRIAM — siostra Goliatha, zarządczyni dostaw; cicha dziewczyna z kopalni, która w salonach starszyzny okazuje się odważniejsza niż niejeden wojownik.

BARAK — dowódca Hufca, niosący Arkę i bliznę po stracie; po Hazorze odzyskał serce, lecz nie spokój.

SIRA — zwiadowczyni o czarnych sztyletach; jej łów za Elisurem zamienia się w obsesję, która grozi zatraceniem duszy.

ELTOLAD — łowca i łucznik, oczy Hufca w mroku; związany z Sirą więzią, której żadne mury nie zasłonią.

CIEŃ — potężny pies Eltolada; węch i słuch tam, gdzie ludzki wzrok zawodzi.

PALTI — opój i gaduła o sercu lwa; śmieje się najgłośniej tam, gdzie innym głos zamiera w gardle — i tym śmiechem trzyma słabszych na nogach.

ITTAJ — chudy, małomówny; w rozmowie niezdarny, w walce — bóg wojny z włócznią wykutą przez Goliatha.

FANUEL — prorok; widzi ciemność, zanim ta zatruje wodę i ziarno.

DALIA — siostra Siry, naczynie światła; a blask, który przez nią płynie, ściąga ku sobie z mroku wszystko, co nienawidzi światła.

JOZUE — wódz Izraela; stara się utrzymać pokój między pokoleniami, których ambicje pękają jak zaprawa.

ARMIA CIENI

ELISUR — syn Szedeura, niegdyś wódz z pokolenia Rubena; spiskowiec, któremu Goliath odebrał dwóch synów, a ogień Hazoru — twarz. Mózg i sakiewka Armii Cieni; rządzi złotem, szpiegami i trucizną, nie mieczem.

HERMAN „KULAWY WILK” — niedobitek spod Merom, gdzie stracił brata i sześciuset ludzi; wódz dezerterów i najemników, pięść Armii Cieni — topór i terror na szlakach.

UCZEŃ OD KOWADŁA — sierota obcej krwi, któremu Goliath dał dach, rzemiosło i imię: Tubal, po praojcu kowali. Dziś wyrzekł się tego imienia, nosi wypalony znak pękniętego kowadła i zna Szilo oraz olbrzyma jak nikt. Oczy paktu trzech.

ELAB — naczelnik pokolenia Efraima; pod świętymi słowami kryje sakiewkę złota od morderców.

„PROROK ZEB” — zakapturzony kaznodzieja z targowisk Szilo, który głosi, że żelazo Goliatha jest przeklęte. Maska ma twarz.

SPIS TREŚCI

Prolog — Plemię Jadu 10

I. Krew na Szlaku 26

II. Rada po Hazorze 43

III. Miasto na Skale 64

IV. Jad w Krwiobiegu 82

V. Salony i Sztylety 104

VI. Światło w Naczyniu 129

VII. Kuźnia Ludzi 145

VIII. Łowcy na Tropie 171

IX. Płonący Cedr 190

X. Uczta na Wulkanie 208

XI. Maska Opada 226

XII. Dowód Zdrady 248

XIII. Ucieczka przez Żmijowisko 271

XIV. Kowal i Upiór 286

XV. Rachunek Ocalałych 305

XVI. Echo Zburzonych Murów 320

XVII. Dolina Milczących Gigantów 338

XVIII. Przymierze pod Gwiazdami 359

Epilog — Ostatni Cios Młota 374


MŁOT JAHWE
SAGA O IZRAELU
Droga przez pustynię do Ziemi Obiecanej
N
W
E
S
ZIEMIA KANANEJSKA
Morze Śródziemne
Hebron
Bitwa pod Hebronem i śmierć Jareda
Wyjście z Egiptu i przejście przez Morze Czerwone
Szilo
I Wyjście z Egiptu
II Przejście przez Morze Czerwone
III 40 lat wędrówki przez pustynię
IV Bitwy z wrogami Izraela
V Zdobycie Jerycha
VI Bitwa pod Hebronem
VII Ustanowienie Szilo
Budowa Szilo i zdrada Elisura
Zdobycie Jerycha
Goliat i zwycięstwo Baraka
Kadesz
Wyprawa z Kadesz i wędrówka przez pustynię
Bitwy z Abiramem i Elisurem
PUSTYNIA SINAI
Przejście przez Jordan
I
Wiara, odwaga, jedność... droga do zwycięstwa
Szkolenie nowego pokolenia i życie obozu
Szilo — nowa stolica Izraela

PROLOG

Plemię Jadu



Góry Antylibanu nie znały litości i nie udawały, że ją znają. Czarne, bezlistne, wgryzione w niebo jak kły wyschniętej na kość bestii, strzegły w swoim trzewiu jaskini, do której słońce nie zaglądało od czasów, gdy świat był młody i gorący, i nie wstydził się jeszcze własnego okrucieństwa. Woda sączyła się po kamieniu, kropla za kroplą, miarowo jak krew spływająca z ostrza tuż po tym, jak ostrze zrobiło swoje — a każde uderzenie o skałę brzmiało w tej ciemności niczym licznik odmierzający komuś ostatnie oddechy. Kropla. Cisza. Kropla. Cisza. Tak odmierzał czas świat, w którym nie było już miejsca na nadzieję, bo nadzieję wypalono z niego do cna.

Ognisko dogorywało. Nie dlatego, że zabrakło drewna — drewna tu nie było w ogóle, paliły się suche, powykręcane korzenie jałowca, które człowiek musiał wydrzeć górze gołymi rękami, a które paliły się niechętnie, ze złością, dymiąc gorzko i krótko. Ogień rzucał na ściany jaskini trzy cienie,

długie i powykręcane, i te cienie były prawdziwsze niż ludzie, którzy je odrzucali — bo ludzie bywają zmęczeni, bywają głodni, bywają słabi, a cienie nie męczą się nigdy, nie głodnieją i nie słabną. Cienie tylko czekają. I rosną.

Daleko stąd, za grzbietami, które runęłyby na człowieka, gdyby tylko odważył się patrzeć na nie zbyt długo, Izrael kładł kamień pod nową stolicę. Pot tysiąca pleców zamieniał tam pył w błoto, bębny biły rytm pracy, a ludzie wierzyli — głupcy — że budują dom. Tutaj, w brzuchu góry, daleko od ich bębnów i ich wiary, trzech wyklętych kładło fundament pod ich zgubę. I robili to z tą samą powagą, z tym samym namaszczeniem, z jakim tamci stawiali mury. Bo nienawiść też jest rzemiosłem, i jak każde rzemiosło wymaga cierpliwości, narzędzi i miłości do dzieła.

Elisur siedział bliżej ognia, lecz ogień go nie grzał. Nic go już nie grzało — ani ogień, ani wino, ani słowo, ani wspomnienie ciepłej dłoni. Hazor, płonąc, odebrał mu nie tylko połowę twarzy. Odebrał mu zdolność czucia ciepła. Odtąd świat dzielił się dla niego na to, co parzy, i na to, co zimne, a między tymi dwoma biegunami nie było już nic — żadnej łagodności, żadnego miejsca, w którym człowiek mógłby po prostu usiąść i być.

NOC, W KTÓREJ SPŁONĄŁ HAZOR

Wracało to do niego zawsze tak samo, bez zapowiedzi, jak cios zza węgła. Wystarczył zapach dymu — a dymu było tu

zawsze w bród — i Elisur znów był tam, w płonącym Hazorze, w nocy, która przekuła go z człowieka w to, czym stał się teraz.

Miasto waliło się wokół niego jak świat w dniu sądu. Belki stropowe pękały z hukiem, który wchodził w trzewia, a iskry wzbijały się ku niebu gęstą, wirującą rzeką, jakby same gwiazdy postanowiły zejść i policzyć zmarłych. Elisur biegł przez to piekło ze skórzaną sakwą złota wciśniętą pod ramię — z ostatnim, co zostało z sojuszu, który sam uknuł, a który teraz obracał się w popiół razem z Hazorem i z królem Jabinem, co go przyjął pod swój dach. Nie śmiał się. Dawno już nie umiał. Śmiech odebrał mu ten dzień, w którym młot olbrzyma roztrzaskał głowy jego dwóch synów — Hanocha i Pallu, krwi Szedeura, krwi Rubena — i nazwał to wolą swojego Boga.

Wtedy runął strop.

Nie zdążył nawet krzyknąć. Płonąca belka — gruba jak tułów człowieka, oblana smołą, którą kananejscy budowniczy uszczelniali dachy — spadła na niego z góry i przygniotła do ziemi. Smoła. To była smoła, nie ogień, która go zniszczyła; ogień zabija szybko, litościwie, smoła zaś przylega do skóry jak żywe stworzenie i pali się dalej, i dalej, i nie daje się zetrzeć, nie daje się zgasić, wgryza się w ciało aż do kości i tam dopiero przysiada, syta. Elisur poczuł, jak jego własna twarz spływa. Poczuł — i to było najgorsze, gorsze niż ból, który przekroczył już wszelką miarę i stał się czymś niemal abstrakcyjnym — poczuł woń własnego, pieczonego mięsa, słodką i

obrzydliwą, i zrozumiał z jasnością, jaką daje tylko agonia, że tą wonią będzie pachniał już do końca życia.

Powinien był umrzeć. Każdy inny by umarł. Ale w Elisurze było coś, czego ogień nie umiał strawić, coś twardszego niż kość i bardziej uparte niż ból — i to coś kazało mu wsunąć palce w rozżarzony gruz, zacisnąć je i ciągnąć. Cal. Jeszcze cal. Zostawiając na kamieniu strzępy skóry z dłoni, zostawiając za sobą ślad jak ślimak zostawia ślad, tyle że ten ślad był z krwi i ze zwęglonego mięsa, Elisur wypełzł z płonącego Hazoru — a sakwy złota nie wypuścił z garści nawet wtedy, gdy ogień zdzierał mu skórę z palców, bo złoto było już wszystkim, co miał, i wszystkim, czego potrzebował.

Gdy ocknął się trzy dni później w jakimś przydrożnym rowie, bez twarzy, bez niczego — pierwszą rzeczą, którą poczuł, nie był ból. Był nią gniew. Czysty, zimny, krystaliczny gniew, który wypełnił pustkę po wypalonej duszy tak doskonale, że Elisur niemal poczuł wdzięczność. Bo człowiek, który stracił wszystko, potrzebuje czegoś, co go poniesie. A nienawiść niesie dalej niż nadzieja. Nienawiść nie zawodzi. Nienawiść nie odchodzi w noc i nie umiera na twoich rękach. Nienawiść zostaje — wierna jak pies, cierpliwa jak kamień — i czeka tylko, aż wskażesz jej cel.

I Elisur wskazał. Nie Goliathowi nawet. Nie Barakowi, nie Jozuemu, nie żadnemu pojedynczemu człowiekowi. Wskazał nienawiści coś większego: samą ideę, że można budować dom tam, gdzie on już nigdy nie zbuduje; że można mieć twarz, do której inni uśmiechają się bez wstrętu; że można być narodem, który ma Boga, przyszłość i miejsce

przy ognisku. To wszystko postanowił spalić. Nie mieczem — miecz jest głupi, miecz łamie się o tarcze. Spalić od środka, cierpliwie, jak smoła pali człowieka: przylgnąć do serca Izraela i tli się w nim tak długo, aż zostanie sam popiół.

✦ ✦ ✦

WÓDZ BEZ TWARZY

Naprzeciw niego, po drugiej stronie dogasającego ognia, kucał człowiek, który też stracił wszystko — tylko inaczej, i dlatego mniej mądrze.

Wódz najemników — zwano go Hermanem, choć za plecami, nigdy w oczy, szeptano o nim Kulawy Wilk — był potężnym mężczyzną, z ramionami jak konary i karkiem, na którym głowa siedziała nisko, jakby wrosła w barki. Skórzany pancerz, zszargany mieczami i latami, wisiał na nim luźno — bo człowiek ten był kiedyś cięższy, pełniejszy, syty własną siłą, a teraz głód wyżarł z niego wszystko prócz kości i wściekłości. Miecz u pasa miał wyszczerbiony jak uśmiech trupa, a na przedramieniu, tam gdzie kiedyś dumnie widniał znak jego kompanii, skóra była zdarta nożem do żywego mięsa. Zdarł go sam, pierwszej nocy po Merom. Bo znak kompanii, która nie istnieje, nie jest znakiem. Jest szyderstwem.

Pod Merom stracił wszystko, co czyni człowieka kimś. Przyszedł tam jako wódz sześciuset — najemnych włóczni z Tyru i Sydonu, ludzi twardych, którym płacono złotem i

którzy za złoto umieli umierać w porządku, w szyku, jak przystało. A Jabin płacił dobrze. Mieli zmiażdżyć tę zbieraninę pastuchów z gór, tych Izraelitów bez rydwanów i bez miast, i wrócić do domu bogatsi. Tak mówił plan.

Ale pod Merom bóg pastuchów okazał się głodniejszy niż złoto Jabina. Rydwany, duma koalicji, ugrzęzły w błocie nad wodami i stały się pułapkami dla własnych woźniców. Izraelici spłynęli z gór jak powódź, cisi i wściekli, i wyrżnęli koalicję w pień. Wódz najemników widział, jak jego ludzie — jego sześciuset, których znał po imieniu, z których każdy miał matkę, dług albo kobietę — toną w błocie i krwi, przebijani jak świnie na rożnie. Widział, jak ginie jego młodszy brat, jedyny człowiek na ziemi, którego naprawdę kochał, przyszpilony włócznią do ziemi tak, że jeszcze długo po śmierci jego palce skrobały błoto. A on sam uciekł. Odwrócił konia i uciekł — a gdy uciekał, ktoś cisnął za nim w ciemność włócznię, która rozorała mu ścięgno pod kolanem, tak że odtąd lewa noga stawiała się krzywo, i wilk, co niegdyś biegał na czele sfory, mógł już tylko kuśtykać u jej końca. Uciekł, bo instynkt okazał się silniejszy niż honor, i to był drugi cios, gorszy od pierwszego: nie dość, że stracił wszystko, to jeszcze dowiedział się, że nie potrafił umrzeć razem z tym, co stracił.

Odtąd dowodził już tylko cieniami. Garścią niedobitków i dezerterów — wilkami, które wygnano z każdej porządnej sfory, mordercami, których nie chciała żadna armia, ludźmi, dla których jedynym prawem był głód, a jedynym bogiem strach. I nienawidził ich. Nienawidził ich tak, jak tylko wódz

potrafi nienawidzić żołnierzy, którzy nie są godni tych, których pochował. Ale byli tym, co mu zostało. A człowiek musi czymś dowodzić, bo inaczej dowodzi nim pustka.

Rzucił w ogień kość jakiegoś małego zwierzęcia — skalnego borsuka, którego jego ludzie złapali o zmierzchu i zjedli niemal na surowo, bo głód nie czeka, aż mięso się upiecze. Kość zasyczała, wypuściła strużkę tłustego dymu.

— Budują miasto — powiedział. Głos miał chrapliwy, jakby przeciągał żwir przez gardło. — Goliath stawia mury w Szilo. Gadają, że bram nie przebije żaden taran świata. Gadają, że olbrzym zakuł je w czarne żelazo i że jeden człowiek zamyka je obrotem korby. — Splunął w ogień. — Żelazo. Zawsze to przeklęte żelazo.

W jego głosie, pod pogardą, drżało coś jeszcze — stary, głęboki lęk prostego wojownika przed bronią, której nie rozumie. Bo w tych czasach żelazo nie było jeszcze chlebem powszednim. Żelazo było tajemnicą, strzeżoną zazdrośnie, i ten, kto je posiadł, posiadł przewagę równą przewadze boga nad człowiekiem. Filistyni z wybrzeża strzegli sekretu ognia i rudy jak skąpiec strzeże złota — nie pozwalali Izraelitom mieć ani jednego kowala, by żaden pastuch nie wykuł sobie miecza, i kazali im schodzić aż na równinę, by naostrzyć lemiesz czy siekierę, i brali za to srebro, i śmiali się. A Goliath — Izraelita, olbrzym z Gat, odszczepieniec — złamał ten monopol. Nauczył się ognia i rudy, i młota, i oddał tę wiedzę swojemu ludowi. Dlatego Izrael miał teraz bramy z czarnego żelaza. I dlatego najemnik, patrząc w ogień, czuł w trzewiach ten pradawny chłód: szedł przeciw czemuś, czego nie pojmował.

DWAJ BRACIA PRZY JEDNYM KOWADLE

Elisur nie odpowiedział od razu na lęk wodza przed żelazem. Odwrócił głowę — powoli, bo spalona skóra na karku nie znosiła pośpiechu — ku trzeciej postaci, która przez cały ten czas trwała w cieniu poza kręgiem ognia, tak cicha, że Herman niemal o niej zapomniał.

— Żelaza nie musisz się bać — powiedział Elisur. — Mam przy sobie kogoś, kto zna je lepiej niż sam olbrzym. Stał przy jego kowadle wtedy, gdy ty jeszcze wierzyłeś, że świat bywa sprawiedliwy. Uszedł ze mną z Hazoru, tak jak uszło ze mną złoto — i jest mi równie drogi.

Postać poruszyła się. Wysunęła w światło dłoń — szeroką dłoń kowala, pokrytą starymi, srebrzystymi bliznami po iskrach, jakie znają tylko ci, co przeżyli życie przy piecu — a na jej przedramieniu Herman zobaczył wypalony znak: kowadło rozłupane na dwoje, a przez szczelinę biegła linia niczym pęknięcie, niczym błyskawica, niczym coś, co złamano i czego już nie da się złożyć.

Nie zdjął kaptura. Milczał długo, a to milczenie było cięższe od słów — bo zanim przemówił, musiało wrócić do niego wszystko, czego nie wyznałby głośno nikomu.

Bo zanim stał się cieniem bez imienia, zanim wypalił sobie na ręku złamane kowadło, był pomocnikiem w kuźni. Młodym, zdolnym, głodnym wiedzy. A mistrzem był Goliath. Stali razem przy jednym kowadle, w tej samej grocie u

podnóża wzgórza, gdzie naturalny ciąg powietrza rozdmuchiwał węgle do białości, i olbrzym — ten potężny, małomówny człowiek — pokazywał mu wszystko. Jak czytać kolor rozgrzanego metalu, by wiedzieć, kiedy jest gotów. Jak słuchać dźwięku, który wydaje młot uderzający w dobrą stal, i odróżnić go od głuchego brzęku stali skażonej. Jak hartować ostrze, by było twarde, lecz nie kruche — bo stal zbyt twarda pęka, a stal zbyt miękka się gnie, i cała sztuka zawiera się w jednym przeczuciu dłoni: wyczuć tę chwilę, w której stal przestaje już ustępować, a jeszcze nie zaczyna pękać.

Był wtedy szczęśliwy — i ta pamięć parzyła go gorzej niż każdy ogień. Pamiętał rytmiczny śpiew dwóch młotów, swojego i Goliatha, wchodzących w metal na przemian, w takcie tak doskonałym, że robotnicy przystawali, by słuchać. Pamiętał, jak Goliath — który do nikogo się nie uśmiechał — uśmiechnął się raz do niego, gdy wykuł pierwszy miecz, co nie pękł przy próbie, i powiedział tylko: „Masz ogień w rękach, chłopcze. Pilnuj, dokąd go skierujesz." I pamiętał, jak dumny był z tych słów — dumniejszy niż z czegokolwiek w życiu.

A potem przyszła ciemność. Nie od razu — ciemność nigdy nie przychodzi od razu, przychodzi jak rdza, niewidoczna, cierpliwa, ziarnko po ziarnku. Patrzył, jak lud uwielbia Goliatha, jak garnie się do niego, jak wymawia jego imię z czcią. A jego — równie zdolnego, równie oddanego — nie widział nikt. Był cieniem olbrzyma, i cień zaczął pytać, dlaczego musi być cieniem. I tak wiara skwaśniała w zazdrość, zazdrość w nienawiść, a nienawiść — gdy w końcu dojrzała

— w zdradę. Gdy przyszedł do niego Elisur, ze swoim zimnym głosem i swoim złotem, cień był już gotów. Rozłupał własne kowadło na pół, wypalił sobie ten znak na ręku i poszedł — bo to, co pękło między nim a mistrzem, nie dawało się już zespolić. Dawało się tylko pomścić.

— On nauczył mnie znaleźć w stali ten punkt, w którym twardość spotyka się z wolą — powiedział cień cicho, głosem wypalonym, nie odrywając wzroku od ognia. — A ja pojąłem później coś, czego on nie pojmie nigdy. Że człowiek też jest stalą. I że człowiek też ma taki punkt. Tyle że w człowieku nie szuka się go młotem.

— Szuka się go strachem — dokończył Elisur cicho. — A strach, bracie, to już moje rzemiosło.

RZEMIOSŁO JADU

Sięgnął do sakwy. Ruch był powolny, ceremonialny — ruch kapłana sięgającego po naczynie ofiarne. Wyjął flakon: mały, z wypalonej gliny, zalepiony woskiem, nie większy niż męski kciuk. W świetle dogasającego ognia wyglądał niepozornie, i właśnie ta niepozorność była w nim najstraszniejsza, bo wielkie zło nosi zwykle małe naczynia.

— Wiesz, ile czasu zajęło mi to wykuć? — zapytał Elisur, obracając flakon w zniszczonych palcach. — Trzy zimy. Tyle, ile dobremu kowalowi zajmuje nauczenie się rzemiosła. Bo to jest rzemiosło, bracie. Subtelniejsze niż twoje rąbanie toporem. Subtelniejsze nawet niż kowalstwo.

Odgryzł wosk, splunął nim w mrok, i zaczął mówić — nie do najemnika właściwie, lecz do ognia, do ciemności, do siebie samego, tak jak mistrz mówi nad dziełem, którego nikt prócz niego do końca nie pojmie.

Herman nie patrzył na flakon. Patrzył na dłoń, która go obracała — szeroką dłoń kowala, w której brakowało dwóch palców, a kikuty poruszały się przy tym tak wprawnie, że dawno przestały być kalectwem, a stały się narzędziem. Elisur dostrzegł to spojrzenie.

— Dwa palce — syknął, unosząc okaleczoną dłoń, niemal z dumą. — Tyle kosztowało mnie samo wydojenie żmii cedrowej. Bo żmija cedrowa nie lubi oddawać jadu za darmo. — Fioletowy odblask pełznął po bielmie jego ślepego oka. — A to, co z niej w końcu wyszło, nie zabija, bracie. Gorzej. Zrobi z nich szaleńców — każe im ujrzeć klątwę tam, gdzie jest tylko ich własny strach, i rzucić się na siebie nawzajem. — Przesypał szczyptę czegoś ciemnego między okaleczonymi palcami, lecz nie powiedział, co to ani skąd. — Resztę miary zachowam dla siebie. Są drzwi, bracie, które otwierają się tylko w jedną stronę; ja znalazłem takie, co otwierają się z drugiej. Tę zachowam na później.

Wylał na rozżarzone węgle kilka kropel. Ciecz była gęsta i czarna jak zakrzepła żółć.

Ogień nie zapłonął. Ogień się skurczył — jakby z bólu, jakby z obrzydzenia — zasyczał i zmienił barwę. Buchnął chorobliwym, trupim fioletem, który nie oświetlał niczego, lecz zdawał się pożerać to niewiele światła, co jeszcze było w jaskini. Najemnik, twardy człowiek, który widział pod Me-

rom rzeczy odbierające sen na całe życie, poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku, i odsunął się odruchowo od ognia.

— Nie zabija — ciągnął Elisur, patrząc w ten fiolet jak inni patrzą w twarz kochanki. — Zapamiętaj to, bo to jest całe sedno. Zabijać to sztuka prosta, umie ją każdy rzeźnik, umiesz ją ty ze swoim toporem. Trup jest bezużyteczny. Trup budzi gniew, budzi zemstę, budzi jedność — nic tak nie łączy ludzi jak wspólny grób. Nie. To jest subtelniejsze. To nie dotyka ciała. To dotyka tego, czym człowiek sam siebie trzyma w ryzach — rozumu, snu, zaufania. Człowiek, który pije tę wodę przez tydzień, zaczyna źle sypiać. Potem źle sypia i źle myśli. Potem słyszy, jak kamienie szepczą mu o jego własnej śmierci. Zaczyna patrzeć podejrzliwie na brata. Na żonę. Na kapłana. I pewnego dnia — nie trzeba nawet, by było ich wielu, wystarczy garść — pewnego dnia sami zburzą mur, którego nie tknął żaden taran. Rozniosą go własnymi rękami, przeklinając przy tym boga, który pozwolił im oszaleć.

Zakorkował flakon i schował go z powrotem do sakwy, delikatnie, jak chowa się rzecz bezcenną.

— Goliath wykuwa żelazo, by ludzi chronić — powiedział. — Ja wykułem to, by ludzi obrócić przeciw sobie. I powiem ci coś, czego on nigdy nie zrozumie: moje dzieło jest lepsze. Bo jego mur można zburzyć. Mojego strachu — nie. Strach, raz zasiany, rośnie sam. Każdy człowiek ma swój głód — jeden złoto, drugi pychę, trzeci strach, a najgroźniejsi nienawiść — i kto pozna czyjś głód, prowadzi go jak wołu za pysk. Nie spotkałem jeszcze człowieka bez głodu. Tacy nie istnieją.

NIE MUR, LECZ DUSZA

Najemnik patrzył na fioletowy ogień długo, aż ten z sykiem powrócił do zwykłej, rudej barwy. Gdy w końcu się odezwał, w jego głosie podziw mieszał się z czymś, czego dawno nie czuł — z lękiem, i z czymś jeszcze gorszym: z nadzieją.

— Czego ode mnie chcesz? — zapytał. — Mówisz o strachu, o truciźnie, o duszy. Ja jestem prostym człowiekiem. Umiem palić i zabijać. Po co ci ja?

Elisur podniósł głowę. Zdrowe oko wbiło się w herszta, i wódz, który widział pod Merom, jak jego brat skrobie palcami błoto, poczuł nagle, że chce cofnąć się w mrok, zniknąć, nie być tu, pod tym spojrzeniem.

— Chcę, byś był nożem, którego nikt nie widzi — powiedział Elisur, a słowa padały teraz szybko, cicho, wyliczone co do grama, jak ciosy mistrza, który nie marnuje ruchu. — Ty i twoje wilki weźmiecie szlaki. To, co umiesz: palić i zabijać. Ale nie będziecie palić, by wygrać — będziecie palić, by przerazić. Spalicie lasy cedrowe, z których kowal ciągnie drewno na swoją świątynię. Zatrujecie studnie i cysterny, z których poją się jego robotnicy — bo Szilo nie ma źródła, bracie, Szilo pije z dziur w skale, a dziurę w skale zatruć łatwiej niż serce. Będziecie przychodzić nocą i odchodzić, nim zapieje pierwszy kogut, i zostawiać za sobą tylko popiół i pytanie bez odpowiedzi: kto? Nie musicie wygrać ani jednej bi-

twy. Macie tylko sprawić, by każde dziecko w Izraelu bało się ciemności za progiem swojego nowego, pięknego domu.

Odetchnął. Fiolet w jego ślepym oku zdawał się na mgnienie powrócić, choć ogień dawno już był rudy.

— A to jest tylko jedna ręka — ciągnął. — Lewa. Prawa jest w środku. Mam w Szilo swoich ludzi. Mam ucho przy każdym namiocie rady i dłoń w każdym worku zboża. Mam głos, który będzie szeptał tłumowi, że żelazo olbrzyma jest przeklęte. Mam starca w radzie, który za obietnicę władzy sprzeda mi głód własnego ludu. Gdy ty będziesz palił lasy, ja będę zatruwał studnie. Gdy ty będziesz straszył szlaki, ja będę straszył sny. I kowal — ten potężny, mądry kowal, który każde żelazo zgina do swojej woli — stanie bezradny pośrodku, bo nauczył się walczyć z taranem, a nie z szeptem. Będzie miał młot, którym nie ma kogo uderzyć. I to go złamie. Nie ja. On sam. Złamie się na własnej bezsilności, bo nie ma nic gorszego dla człowieka czynu niż wróg, którego nie da się dotknąć.

Skinął ku milczącemu cieniowi ze znakiem kowadła. — A on da tej wojnie oczy. Zna każdą cysternę Szilo i każdą cienką żyłę w jego murze, bo sam pomagał je obmyślać. Zna i olbrzyma — wie, jak ten myśli, czego się lęka, kogo kocha. Ty, Hermanie, dasz tej wojnie pięść i pożogę. Ja dam jej truciznę i cierpliwość. A on poprowadzi i twoją pięść, i moją truciznę tam, gdzie zabolą najgłębiej. Trzy głody, jedno dzieło.

Najemnik milczał. Patrzył na tę stopioną twarz, na to płonące oko, i rozumiał powoli, że siedzi naprzeciw czegoś, co przestało już być człowiekiem — co przeszło przez ogień i

wyszło z niego jako coś czystszego i straszniejszego, jako sama idea zniszczenia, odlana w ludzkim ciele. I rozumiał też, głęboko, w trzewiach, że powinien wstać i odejść, że pakt z czymś takim nie kończy się dla nikogo dobrze. Ale pod Merom pochował brata i sześciuset ludzi, i nie miał dokąd pójść, i nie miał czym żyć prócz nienawiści — a ten potwór oferował mu nienawiść z celem. Dawał jego pustce kształt. A człowiek, który stracił wszystko, pójdzie za każdym, kto powie jego rozpaczy, dokąd ma iść.

✦ ✦ ✦

Podnieśli dłonie. Zetknęli je nad dogasającym ogniem — okaleczona, bez dwóch palców dłoń truciciela; oparzona, naznaczona pękniętym kowadłem dłoń zdrajcy od paleniska; i ciężka, pokryta bliznami dłoń rzeźnika szlaków — a uścisk ten nie był przymierzem przyjaciół, bo żaden z nich nie umiał już być przyjacielem. Był paktem trzech głodów, które zgodziły się na chwilę żreć z jednej miski, wiedząc, że gdy miska opustoszeje, pożrą się nawzajem. Ale ta chwila mogła trwać długo. Dość długo, by spalić miasto.

Woda kapała po kamieniu. Kropla. Cisza. Kropla. W tej jaskini, pod górą, która nie słyszała modlitwy od narodzin świata, daleko poza zasięgiem bębnów Szilo i błogosławieństwa Jahwe, narodziło się tej nocy coś, co miało odtąd nosić imię — imię, które szlaki Kanaanu wyszepczą wkrótce z lękiem, zatykając na noc bramy i chowając dzieci:

Armia Cieni.

Wojna o Kanaan nie skończyła się pod murami Hazoru, jak wierzyli ci, którzy świętowali w obozach Izraela. Ona po prostu zeszła pod ziemię — tam, gdzie żelazo nie świeci, gdzie odwaga nie ma na kogo krzyczeć, a mur, choćby najwyższy, nie obroni człowieka przed tym, co wsącza się w jego własne sny. Goliath wykuł wolność w ogniu. Teraz miał się dowiedzieć, że są rzeczy, których ogniem wykuć się nie da — i że najgroźniejszy wróg nie przychodzi w otwartym szyku, z mieczem w garści, lecz siada cicho przy twoim ognisku, pod kapturem, i czeka, aż nazwiesz go bratem.

ROZDZIAŁ I

Krew na Szlaku



Grań nad szlakiem do Szilo pamiętała już niejeden przelew krwi, lecz tego, co miało się stać o tym świcie, i jej by się odchorowało. Dwudziestu ludzi leżało płasko w szczelinach skał nad wąwozem — nieruchomych jak martwe kamienie, od trzech straży, bez jednego kaszlnięcia, bo Zur wieszał za kaszel równie chętnie jak za ucieczkę. Leżeli i patrzyli w dół, na szarą wstęgę szlaku, po której pełzł ku nim, nieświadomy niczego, tłusty robak: dwanaście wozów ciągnionych przez woły, wiozących do rodzącego się miasta wszystko, czego łaknie kamień i głód — zboże w workach, belki cedrowe, żelazo w sztabach, dzbany oliwy. Oraz, choć tego z góry jeszcze nie wypatrzono, dwie młode kobiety.

SĘPY NA GRANI

Zur żuł pasek suszonego koziego mięsa i mierzył wozy okiem nie wodza, lecz rzeźnika — takiego, co nie liczy ludzi, a mięso

na hakach. Był to człowiek zbudowany z samych kątów i blizn, z twarzą, po której ktoś przejechał kiedyś pochodnią, i z lewą dłonią uboższą o dwa palce, odgryzione, jak lubił powtarzać, przez kogoś, kto gorzko tego pożałował. Na przedramieniu, wypalone w skórze, nosił ten sam znak co wszyscy na tej grani: kowadło rozłupane na dwoje. Nie wiedział dokładnie, co znak oznacza, i nie dbał. Wiedział tyle, że spalony z gór płaci złotem za każdy wóz, który „zgubi się" po drodze — a drugie tyle za strach, który przy tym zasieje.

— Dwudziestu przy wozach, może i więcej — szepnął leżący obok chudy łucznik imieniem Pelet, nie odrywając oka od szlaku. — To nie banda kupiecka. To żołnierze. Patrz, jak idą: po dwóch przy każdym wole, reszta na skrzydłach. Ktoś ich wyuczył.

— Tym lepiej — mruknął Zur, nie przestając żuć. — Za obdartusów spalony płaci jak za obdartusów. Za wyuczonych żołnierzy — podwójnie. — Splunął chrząstką w przepaść. — A poza tym, Pelet, wyuczony żołnierz na otwartym polu to jedno, a wyuczony żołnierz w gardzieli, gdzie nie rozłoży nawet szyku, to już tylko mięso, które jeszcze o tym nie wie.

Bo w tym była cała sztuka Zura, jedyna, jaką posiadł, lecz opanowana do perfekcji: nie bić wroga tam, gdzie jest silny, lecz tam, gdzie sam się zapędzi. Szlak przed nimi wężył się między dwiema ścianami skał, zwężając się w miejscu, które ludzie Zura zwali po prostu Gardzielą — na tyle ciasnym, że dwa wozy nie minęłyby się bokiem, a strażnik nie miałby dokąd odskoczyć przed tym, co spadnie z góry. Tam czekały już usypane sterty głazów, podparte kłodami, które jedno ude-

rzenie topora puści w dół. Tam, w pół drogi przez Gardziel, karawana miała przestać być karawaną, a stać się tym, czym Zur widział ją od początku: rzeźnią pod gołym niebem.

— Wpuścimy ich w Gardziel do połowy — rzekł Zur, a jego ludzie wsłuchiwali się w niego tak, jak wsłuchuje się w kogoś, kto trzyma w garści twoje życie i cudze. — Czoło i ogon zamykamy głazami. Potem łucznicy czeszą ich z góry, aż przerzedną, a wtedy schodzimy i kończymy z bliska. Nikt nie wychodzi. Słyszycie? Nikt. Ostatnim razem wylazł jeden woźnica i dowlókł się do bramy — a spalony darł się na mnie potem tak, jakbym mu rodzoną matkę zarżnął. — Obnażył zęby w czymś, co u innych bywa uśmiechem. — Trupy obedrzeć, wozy spalić, czego nie zabierzemy. I zostawić znak. Niech w tym ich świętym mieście wiedzą, że po szlakach chodzi się teraz za naszym pozwoleniem albo wcale.

DWANAŚCIE WOZÓW

Jadon, który wiódł straż konwoju, nie wiedział o Gardzieli nic — lecz wiedział, czego nauczyło go dwadzieścia lat na szlakach: że cisza bywa gorsza od wrzasku, a ptaki milkną nie bez powodu. A tego ranka ptaki milczały. Stary strażnik jechał w czole kolumny na kudłatym koniku, omiatając wzrokiem grań po obu stronach, i czuł w dołku ten chłód, którego nie umiał nazwać, a którego nauczył się nigdy nie lekceważyć — bo ci, co go lekceważyli, nie dożywali jego lat.

— Za cicho, Jadonie — odezwał się młody Resa, jadący przy jego strzemieniu; miał dziewiętnaście lat, nowy miecz od kowali Goliatha i przekonanie, że wojna jest przygodą. — Przez całe rano ani jednej kuropatwy. Może to dobry znak? Może wszystko, co żyje, śpi jeszcze o tej porze.

— Albo wszystko, co żyje, uciekło przed czymś, co nie śpi — odrzekł Jadon, nie patrząc na niego. — Ściągnij ludzi ciaśniej. I powiedz woźnicom, żeby trzymali woły krótko. Nie podoba mi się ten wąwóz przed nami.

W wozach, między workami zboża a wiązkami okutych gwoździ, jechali ci, bez których żelazo i belki na nic się nie zdadzą: robotnicy, cieśle, dwóch murarzy, garbarz z synem. Gadali, by zagłuszyć ten sam niepokój, który ściskał Jadona — a gadali o jednym, bo o jednym gadało teraz całe pogórze.

— ...trzeci transport w tym księżycu — mówił półgłosem garbarz, zerkając ku grani. — Trzeci. Pod Aijalonem wybili wszystkich do nogi, nawet wołów nie zostawili, tylko spalone osie. A powiadają, że na kłodzie wyryli im znak: rozłupane kowadło.

— Bandyci — prychnął jeden z murarzy, lecz bez przekonania. — Pogórze od zawsze się nimi roiło.

— Bandyci kradną i uciekają — odparł garbarz. — Nie wycinają w pień i nie zostawiają znaków. To nie bandyci, mówię ci. Bandyta chce twojego worka. To coś chce, żebyś się bał. A to już całkiem inny głód.

Na przedostatnim wozie, wtulone między wory z jęczmieniem, jechały dwie siostry z wypalonej przez tę samą wojnę wioski pod Lais — Tamar, starsza, o twarzy zamkniętej jak

pięść, i Lea, młodsza, która wciąż jeszcze miała w sobie dość dziecka, by bać się głośno. Szły do Szilo, bo powiadano, że w mieście kowala z Gat znajdzie dach każdy, kto nie ma już dokąd wracać — nawet dwie dziewczyny bez ojca, bez domu i bez niczego prócz siebie nawzajem.

— Boję się tego wąwozu, Tamar — szepnęła Lea, ściskając siostrę za rękaw. — Czemu oni tak ucichli? Strażnicy. Patrz, jak się rozglądają.

— Bo im płacą za rozglądanie się — odrzekła Tamar twardo, choć sama nie wierzyła w swój spokój. Objęła siostrę ramieniem i ściągnęła niżej, za wory. — Schowaj głowę. Jeszcze pół dnia i będziemy za murami. A za murami, mówią, nikt już nikogo nie goni.

Pół dnia. Gdyby Tamar wiedziała, jak krótkie będzie najbliższych sto uderzeń serca, nie mówiłaby o pół dnia. Mówiłaby o ucieczce — teraz, natychmiast, w skały. Lecz nie wiedziała, bo nikt z dołu nie widzi, co leży w górze — i konwój wszedł w Gardziel równym, spokojnym krokiem zmęczonych ludzi, którym do domu już całkiem niedaleko.

GARDZIEL

Pierwszy nie spadł kamień. Pierwszy spadł dźwięk — suchy trzask toporów o podparte kłody, zwielokrotniony echem tak, że zdało się, iż pęka samo niebo. A potem niebo istotnie runęło.

Głazy wielkości wołu posypały się z obu ścian wąwozu na czoło kolumny i na jej ogon naraz, i w jednym uderzeniu serca karawana przestała móc iść dokądkolwiek. Pierwszy wóz zniknął pod lawiną kamienia razem z wołami i woźnicą — był, i już go nie było; została miazga drewna, mięsa i rozsypanego ziarna, które wsiąkało czerwienią. Ostatni wóz zawaliły głazy od tyłu, zatrzaskując pułapkę. A konwój, ściśnięty w Gardzieli, z czołem i ogonem pod kamieniem, stał się tym, czym go chciano mieć: stadem w zagrodzie, do którego strzela się bez pośpiechu.

I strzały spadały — nie chmurą, lecz rzemiosłem, z góry, z bezpiecznej skały, gdzie żaden miecz obrońcy nie sięgał. Łucznicy Zura nie śpieszyli się. Wybierali. Najpierw tych, co krzyczeli rozkazy, potem tych, co podnosili tarcze, na końcu tych, co uciekali — bo uciekający nigdzie nie szedł, a strzała w plecy nie marnuje się nigdy. Konie kwiczały z grotami w bokach, woły rwały się w jarzmach, tratując leżących, a ludzie Jadona ginęli, nim zdążyli pojąć, skąd przychodzi śmierć.

Jadon pojął od razu — i zrobił jedyną rzecz, jaka w Gardzieli miała jeszcze sens. Nie kazał uciekać; z ucieczki w tym kamiennym korycie była tylko śmierć szybsza. Zeskoczył z konia, ryknął, aż przebił się przez wrzask, i zagnał żywych pod skalny okap na wschodniej ścianie — jedyne miejsce, dokąd strzały z góry nie dolatywały. *„Pod ścianę! Tarcze w górę! Pod ścianę, psubraty, chcecie żyć?!"* I garść jego ludzi, tych twardszych, posłuchała nawyku silniejszego od strachu — zbili się w kąt pod okapem, osłaniając głowy i tych, co nie mieli tarcz.

Lecz Zur nie był głupcem i nie zamierzał czekać, aż ostatni wykrwawi się pod skałą. Gdy przedpole przerzedło, dał znak — i jego ludzie zeszli z grani, trzydziestu na garść, z toporami i krótkimi włóczniami, i weszli w to, co zostało z konwoju, jak rzeźnicy wchodzą do zagrody. Wtedy zaczęła się część druga, gorsza, bo z bliska.

I Gardziel napełniła się tym, czego żadna opowieść nie odda: łoskotem żelaza o żelazo, charkotem duszonych, krótkim skowytem konia, któremu topór wszedł w zad. Bandyci schodzili z wrzaskiem, bo wrzask dodaje animuszu temu, kto zarzyna osaczonych.

— Rżnij ich! Za zboże, psy, za zboże! — darł się jakiś brodacz z toporem, brodząc w posoce po kostki.

— Pod ścianę! Nie puszczać! — ryknął izraelski dziesiętnik spod okapu — i nie dokończył, bo włócznia weszła mu w usta w pół słowa.

— Litości... — skamlał któryś z woźniców, padając na kolana; a bandyta, mijając go, warknął tylko: — Litość wyprzedała się pod Hazorem. — I rozłupał mu głowę, nie zwalniając kroku.

Jadon przestał myśleć słowami. Świat skurczył mu się do półtora kroku przed twarzą — bo tyle widzi człowiek w zwarciu, i tyle mu wystarczy, by żyć o uderzenie serca dłużej. Z lewej wyrósł cień z toporem; nie zdążył go nawet pomyśleć, tylko poczuł, jak własna ręka sama pcha tarczą w górę, a druga tnie na odlew, nisko — i ten krótki, miękki opór, inny niż w drewnie, gdy ostrze weszło komuś w pachwinę. Nie patrzył, czy tamten pada. Padał. Padali wszyscy, których tak do-

sięgnął; wiedział to z dwudziestu lat, nie z patrzenia. Nad uchem świsnęło — strzała, tak blisko, że poczuł jej wiatr na spoconym karku — i prysnęła o kamień za nim, siekąc go odłamkami po policzku.

Wrzeszczeli. Wszyscy wrzeszczeli — oni, schodząc, w obcym, gardłowym narzeczu, którego nie rozumiał i rozumieć nie musiał, bo wrzask zabijającego brzmi tak samo w każdym języku; jego właśni — krócej, urywanie, tym krzykiem, który wyrywa z człowieka nie odwagę, lecz żelazo wchodzące tam, gdzie wejść nie powinno. Przed Jadonem wychynęła ze zgiełku twarz, młoda, wykrzywiona, z zębami obnażonymi jak u psa, i pchnęła włócznią w brzuch. Obrócił biodro — drzewce prześliznęło się po skórzni — i wszedł w tego chłopaka z bliska, zbyt blisko na miecz, i wbił mu kciuki tam, gdzie błyszczały oczy, i trzymał, czując pod palcami, jak tamten przestaje się szarpać. Dwudziestu lat nie przeżywa się czysto. Przeżywa się tak.

A przez cały ten czas — przez opór ostrzy, przez świst, przez cudzą krew stygnącą mu na brodzie — Jadon krzyczał. Nie wezwanie do bogów, nie rozkaz: jedno imię. Imię córki, która czekała na niego za murami Szilo z garnkiem soczewicy i wyrzutem, że znów się spóźnił. Krzyczał je tak, jakby mogło go stamtąd wyciągnąć. Nie mogło. Czwarty wszedł mu w plecy — i nie poczuł ostrza, tylko nagłe zimno i to, że nogi przestały być jego. Osunął się, lecz nie puścił: namacał drzewce sterczące mu z boku, zacisnął na nim palce i ściągnął napastnika w dół, na siebie, w ostatni uścisk, z którego żaden z nich już się nie podniósł. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, nie

była Gardziel ani wróg. Była dziewczynka z garnkiem soczewicy. I to było dobre.

Resa, dziewiętnastoletni Resa z nowym mieczem i przekonaniem, że wojna jest przygodą, nie zabił nikogo. Umarł pod skalnym okapem, przyparty do kamienia, wołając matkę, z twarzą zdziwioną tak szczerze, jak dziwi się tylko ten, kto pierwszy raz pojmuje, że przygoda była kłamstwem. I było takich więcej — dużo więcej — bo Gardziel brała wszystkich po równo: wyuczonych i zielonych, dzielnych i tych, co w ostatniej chwili rzucali broń i klękali, prosząc o litość, której Zur nie sprzedawał za żadne pieniądze.

W tym piekle dwie dziewczyny z wypalonej wioski pod Lais zrobiły jedyną rzecz, jaka im przyszła do głowy: zsunęły się z wozu po stronie wschodniej ściany, w szczelinę między głazami, i uciekły. Nie ku bramie — brama była o pół dnia i o całe życie za daleko — lecz w górę suchego żlebu wcinającego się w zbocze, byle dalej od wrzasku, od swądu, od toporów. Tamar ciągnęła Leę za rękę, a Lea biegła, nie oglądając się, z jednym tylko w głowie: nie puścić dłoni siostry.

— Nie dam rady, Tamar! — łkała Lea, potykając się na piargu, z płucami w ogniu. — Nogi... już nie czuję nóg!

— Czujesz. Biegnij — wyrzuciła z siebie Tamar, nie zwalniając, zaciskając palce na nadgarstku siostry tak mocno, że musiało boleć, bo ból trzyma lepiej niż strach. — Nie oglądaj się. Patrz na ten głaz na górze i biegnij do niego, potem do następnego. Tylko tyle. Głaz po głazie. Żyje się głaz po głazie.

Gdyby się obejrzały, zobaczyłyby to, czego widzieć nie trzeba. Nie obejrzały się. Biegły. I dlatego nie zauważyły, że z dymu za ich plecami oderwało się trzech.

ŁOWCA SPÓŹNIONY

O dwie doliny stamtąd, tego samego ranka, Eltolad klęczał nad odciskiem buta w błocie wyschniętego strumienia i wiedział już, że się spóźni. Szóstą dobę deptał ten trop — sześć dni, odkąd Barak wziął go na bok i powiedział krótko, jak to Barak: *„Ktoś pali nam transporty i chowa się w górach, których nie znamy. Znajdź go. Nie bij — znajdź. Chcę wiedzieć, ilu ich, czyje rozkazy noszą i gdzie nocują."* Eltolad wziął łuk, dwa bukłaki, garść suszonych fig i jedynego towarzysza, któremu ufał bardziej niż ludziom — i poszedł w góry. Cień truchtał przodem, wielki bury pies o ślepiach mądrzejszych niż u niejednego dowódcy, wyczytując z wiatru rzeczy, których żaden człowiek nie wyczyta.

— Mów, bracie. Którędy? — mruknął Eltolad półgłosem, przykucnąwszy nad ledwie widoczną koleiną; z Cieniem rozmawiał częściej niż z ludźmi, bo pies nie kłamał, nie przerywał i nigdy nie udawał, że wie, gdy nie wiedział. Cień obwąchał kamień, zwiędłą trawę, trącił nosem coś, czego łowca nie dostrzegł, i ruszył dwa kroki w bok, pewny siebie. — No tak. Jak zwykle masz rację, a ja wlokę się za tobą i udaję, że to ja tropię. — Poklepał psa po karku. — Tylko pamiętaj, co mówił Barak: znaleźć, nie bić. Policzyć ich, obejrzeć i wrócić.

— Pies spojrzał na niego z ukosa, jakby wiedział, że z tego „nie bić" i tak nic nie wyjdzie. — Wiem. Ja też w to nie wierzę.

Przez pięć dni trop był zimny: zgliszcza, których dym dawno opadł, groby rozkopane już przez szakale, stare koleiny prowadzące donikąd. Lecz tej nocy Cień się zmienił — zesztywniał, sierść na karku wstała mu dęba — i Eltolad pojął, że zimny trop nareszcie się ogrzał. Szli całą noc. A nad ranem, wszedłszy na przedostatnią grań, usłyszeli to, od czego łowcy ścięła się krew: daleki, stłumiony skałą dźwięk, którego nie myli się z żadnym innym — wrzask ludzi, których ktoś zarzyna.

Dopadł szczytu grani i spojrzał w dół, w gardziel wąwozu — i to, co zobaczył, powiedziało mu wszystko, czego Barak chciał się dowiedzieć, i wszystko, czego Eltolad wiedzieć nie chciał. Spóźnił się. O pół godziny, może mniej, lecz w tej robocie pół godziny to przepaść między ratunkiem a pogrzebem. Konwój już nie istniał: zostały płonące wozy, rozwleczone trupy i trzydziestu obcych uwijających się w dole jak robactwo w padlinie — obdzierali zabitych, dobijali rannych, wyciągali z wraków, co się dało. Na jednej z kłód ktoś wypalał właśnie znak.

Eltolad nie krzyknął. Krzyk to rzecz dla tych, co mają wojsko za plecami; on miał łuk, kołczan i psa, a łuk, kołczan i pies nie robią różnicy przeciw trzydziestu — chyba że użyje się ich jak łowca, nie jak żołnierz.

I wtedy Cień warknął — nisko, nagląco — a Eltolad podążył wzrokiem za jego ślepiami, w bok, ku suchemu żlebowi

na wschodnim zboczu. Zobaczył dwie uciekające postacie w kobiecych chustach. I trzech, którzy biegli za nimi.

TRZECH ZA DWIEMA

Łowca nie zastanawiał się ani jednego uderzenia serca. Zostawił grań — bezpieczną wysokość, z której łuk czynił go nietykalnym, a zejście z niej oznaczało wejście między wrogów na odległość ramienia — i zbiegł w dół zbocza wielkimi susami, bo transportu nie dało się już ocalić, a tych dwóch jeszcze tak; i tylko to się teraz liczyło. Cień runął przodem, szarą błyskawicą między głazami.

Pierwszego z trzech wziął w biegu, z pięćdziesięciu kroków, strzałą między łopatki — tamten zarył twarzą w piarg i już nie wstał. Drugi obejrzał się na świst cięciwy, i to go zgubiło: zatrzymał się na pół kroku, a to pół kroku wystarczyło, by druga strzała weszła mu w gardło i obróciła krzyk w bulgot. Został trzeci — i na trzeciego Eltolad nie miał już czasu, bo trzeci był najszybszy z całej trójki i dopadł właśnie Lei, chwytając ją za włosy i zadzierając jej głowę do tyłu, odsłaniając gardło pod nóż.

Strzała z tej odległości, w kłębowisko dziewczyny i napastnika, zabiłaby równie łatwo ją co jego. Więc Eltolad rzucił łuk. Dopadł ich trzema skokami i uderzył bandytę barkiem, zwalając go z nóg wraz ze sobą, byle dalej od dziewczyny — i w jednej chwili przestał być łowcą z góry, panem położenia, a stał się tym, czego łowca nienawidzi najbardziej:

dwoma ciałami splecionymi w błocie, gdzie wygrywa nie celniejszy, lecz silniejszy. A silniejszy był tamten.

Bandyta był wielki — o głowę wyższy od Eltolada i cięższy o pół człowieka, zbudowany jak ten rodzaj mężczyzn, których cała wartość mieści się w ramionach, lecz w ramionach mieści się jej aż nadto. Przewalili się raz, drugi, i w trzecim obrocie Eltolad znalazł się pod spodem — przygwożdżony kolanem do ziemi, z całym tym ciężarem na piersi — i pojął w zimnym błysku, że przegrywa. Bandyta nie sięgał już po nóż; nie musiał. Przedramieniem grubym jak konar przygniótł łowcy gardło i naparł całym ciężarem, spokojnie, jak dusi się to, co się już nie wyrwie. Świat Eltolada zaczął ciemnieć od brzegów. Walił tamtego pięścią w bok głowy, w ucho, w oczodół — a bandyta tylko mrugał i naciskał mocniej, błyskając zębami w uśmiechu, bo czuł już pod sobą cudzą śmierć, a to jest uczucie, które takich jak on rozgrzewa.

— Nie szarp się, łowco — sapnął bandyta z góry, napierając przedramieniem mocniej, niemal czule. — Twój kundel dałby ci szybszą śmierć. Ja się nie spieszę.

Eltolad nie miał już tchu, by odpowiedzieć. Wyrzucił z siebie resztkę powietrza — nie na słowa do bandyty, lecz w bok, w stronę szarej smugi, która sunęła właśnie między głazami; jedno charknięcie, bardziej tchnienie niż głos:

— Bierz... go.

Eltolad usłyszał, zza grzmiącej w uszach krwi, jak Lea krzyczy, i pomyślał — spokojnie, bo myśli konającego bywają spokojne — że umrze głupio, w błocie, przygnieciony przez wołu w ludzkiej skórze, o dwa kroki od tych, które przyszedł

ocalić. A potem ciężar na jego gardle drgnął. Bo Cień dopadł wreszcie — i Cień nie szczekał, nie straszył, nie dawał drugiej szansy. Wielki bury pies wszedł bandycie w kark z boku, całym rozpędem i wagą, i zamknął szczęki tam, gdzie u człowieka pod skórą bije życie, nad obojczykiem, przy tętnicy. Nie puścił. Szarpnął raz, nisko, po wilczemu — i gorąca struga bluznęła Eltoladowi na twarz, a ciężar z jego piersi nagle oszalał: bandyta puścił gardło łowcy i chwycił się za własne, wrzeszcząc wysokim, zwierzęcym głosem, przewracając się w bok, gdzie Cień trzymał dalej, cierpliwie, jak trzyma się zdobycz, która jeszcze się łudzi. Trwało to krócej, niż trwa opowiedzenie. Potem bandyta znieruchomiał, pies puścił, podniósł zakrwawiony pysk i spojrzał na swojego człowieka tym samym spokojnym, mądrym okiem co zawsze — jakby pytał, czy dobrze zrobił.

Eltolad przewrócił się na bok, zachłystując się powietrzem, które paliło jak ogień, i przez chwilę nie był zdolny do niczego prócz oddychania. Potem, wciąż charcząc, wyciągnął rękę i zacisnął palce w gęstej sierści na karku psa — nie jak pan, lecz jak ktoś, kto właśnie zawdzięcza życie. — Dobrze — wychrypiał, bo na nic więcej nie było go stać. — Dobrze, bracie.

CO ZOSTAJE PO WILKACH

Dwie siostry stały nad nim, trzymając się siebie tak, jak trzyma się ostatniej rzeczy na świecie. Lea trzęsła się cała i nie mo-

gła przestać patrzeć na martwego bandytę, na jego rozdarte gardło, na krew wsiąkającą w piarg; Tamar nie patrzyła na trupa wcale — patrzyła na Eltolada, twardo, taksująco, jak patrzy ktoś, kto zbyt wiele razy w życiu przekonał się, że ratunek też bywa pułapką.

— Kto ty jesteś? — spytała, zasłaniając sobą siostrę, choć w ręku nie miała nic prócz kamienia, który zdążyła podnieść. — Jeden z nich? Czy drugi taki sam, tylko w innej skórze?

— Gdybym był jednym z nich — wychrypiał Eltolad, dźwigając się na kolana — leżałabyś już, dziewczyno, obok siostry, a ja obcierałbym nóż. Jestem z Szilo. Posłano mnie, żebym znalazł tych, co to robią. — Spojrzał w dół, ku dymiącej Gardzieli, i twarz mu stężała. — Znalazłem.

Zeszli nad dno dopiero, gdy banda odeszła — a odeszła prędko, obładowana łupem, nie wiedząc nawet, że trzech wysłanych w pogoń już nie wróci, a może wiedząc i nie dbając, bo takim jak oni nie żal swoich. Gardziel milczała teraz tą ciszą, która zapada tam, gdzie było zbyt wiele krzyku. Eltolad chodził między poległymi i liczył — bo Barak kazał liczyć — i wyszło mu czterdziestu. Czterdziestu ludzi: strażników, woźniców, cieśli, dwóch murarzy, garbarza i jego syna, których ciała leżały obok siebie tak, jak padli, ojciec zasłaniający sobą tego małego do końca i do niczego. Starego dowódcę o siwej brodzie znalazł splecionego z tym, który go zabił — obu martwych, obu wciąż trzymających się nawzajem, jakby śmierć nie potrafiła ich rozdzielić. Nikogo żywego. Prócz tych dwóch, które biegły i nie obejrzały się.

Na osmalonej kłodzie u wylotu Gardzieli odnalazł znak — ten sam, który garbarz opisywał drżącym głosem dwie godziny i całe życie temu: kowadło rozłupane na dwoje, wypalone głęboko, starannie, bez pośpiechu, jak podpis, który ktoś stawia z dumą. I Eltolad, który nie bał się wielu rzeczy, poczuł, patrząc na ten znak, chłód — bo pojął to, co miał donieść Barakowi, i co było gorsze niż wszystko, co leżało wokół: że to nie banda. Banda kradnie i ucieka. To, co przeszło tędy, zostawiało podpis. A podpis zostawia tylko ten, kto się nie boi, że go znajdą — bo wie, że jest już dość silny, by się nie bać.

Pogrzebać czterdziestu nie zdołałby ani w tydzień, a tygodnia nie miał — miał dwie żywe dziewczyny, które trzeba było wyprowadzić, nim banda zawróci po grań. Ułożył więc zabitych, jak zdążył, jednego przy drugim, przykrył twarze, czym się dało, i odmówił nad nimi te kilka słów, które znał — niezdarnie, bo nie był człowiekiem modlitwy, lecz tropu. Potem gwizdnął na Cienia, wziął łuk i skinął na siostry.

— Do Szilo — rzekł. — Trzy dni drogi, jeśli pójdziemy bokami, nie szlakiem. Szlak od dziś nie jest dla żywych. — Spojrzał na Leę, która wciąż dygotała, i głos mu odrobinę zmiękł, choć niewiele, bo niewiele umiał. — Żyjesz, mała. Siostra żyje. Dziś to więcej, niż dostało czterdziestu lepszych ode mnie. Resztę wypłaczesz za murami. Teraz idź.

I poszli — łowca, pies i dwie ocalone z czterdziestu — w górę bocznego żlebu, ku odległym jeszcze murom miasta, które przyjmowało tych, co nie mieli już dokąd wracać. A za nimi, w Gardzieli, dogasały wozy i stygli zabici, i unosił się

nad tym wszystkim, cierpliwy jak sęp, pierwszy prawdziwy cień nadciągającej wojny — tej, w której wróg nie uderza w czoło, lecz w to, co miasto żywi; nie po to, by wygrać jedną bitwę, lecz by nauczyć cały kraj, że nigdzie już nie ma bezpiecznej drogi.